POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
50 ROCKEFELLER PLAZA, NEW YORK, N. Y.
BIULETYN POLSKI

Nr.2/120 7 sierpnia, 1943.

Na Szlakach Wędrówki
Polskiego Żołnierza

Z ROSJI DO IRAKU

Gdzieniegdzie, wśród piasków pustyni na Wschodzie, podróżnik znajduje granitowe pomniki z napisem: "Tędy przechodził żołnierz polski w drodze do Ojczyzny". Pomniki te znaczą ślad wędrówek, jakich nie zna historia żadnej armii świata. Jeden z takich szlaków opisuje korespondent Polskiej Agencji Telegraficznej ze Wschodu.

Bliski Wschód, Pat, w sierpniu.

Zaczęło się to w końcu maja, ale przygotowania do wyjazdu trwały aż do chwili, gdy 8-go sierpnia 1942 roku wsiedliśmy do pociągu, zdawszy poprzednio wszystkie rzeczy do magazynu.

Poprzedniego dnia wieczorem - ostatnia modlitwa przed wyjazdem. Dowódca pułku wygłasza krótkie przemówienie. Mówi o nowej drodze, którą zaczynamy. Przy zachowaniu odpowiedniego ceremonjału, flaga polska spływa powoli ze szczytu masztu. Wyprzątamy idealnie czysto cały zajmowany przez nas teren, składamy ciężkie rzeczy na wozy, a sami maszerujemy skoro świt 10 km. do miasta. Towarowe wagony tak dobrze znane nam z podróży wszersz i wzdłuż po Rosji, stoją już na szynach. Ładujemy się do nich, ci którzy zostają i mają jechać dzień lub dwa później machają chusteczkami i pociąg rusza. Rozpoczynamy jeszcze jeden etap podróży do Polski.

Podróż trwała 4 dni. Jedziemy wzdłuż całej Kirgizji, Uzbekstanu i Turkmenii. Dostajemy chleb, suchary, ser, marmeladę, beefy i jarzynowe konserwy. Głodni nie jesteśmy. Mimo to na wszystkich stacjach bractwo rzuca się wprost na sprzedających winogrona, pomidory i inne smakołyki i wydaje ostatnie ruble. Kto nie ma pieniędzy zamienia na jedzenie mydło i herbatę. Mijamy Samarkandę i Bucharę. Na jednej ze stacyj spotykamy inny transport Polaków, wojskowych i cywilnych. Ludzie, którzy nie widzieli się czasem bardzo dawno, rzucają się sobie na szyję. Spotyka się znajomych z więzień i "łagrów". Padają stereotypowe pytania: co słychać? Gdzie jest Wacek, Kazik, Andrzej, Jurek?!

Odcinek z Buchary do Krasnowodzka prowadzi przez gołe stepy. Jak okiem sięgnąć, nic - tylko piaski i kamienie. Gdzieniegdzie lepianka, dokoła niej pasie się bydło. Mijamy często karawany wielbłądów. Na stacjach pusto i głucho, o kupnie czegokolwiek ani marzyć. Przejeżdżamy w nocy przez słynny Amurdar i zatrzymujemy się w Mary, ważnym węźle kolejowym, skąd idzie odgałęzienie do granicy Afganistanu.

Poraz pierwszy i jedyny w czasie całej podróży czeka tu na nas ciepła strawa: obiad w wojennej stołówce sowieckiej. Maszerujemy przez ładne, nowocześnie zabudowane miasto. Upał jest szalony.

Wojenne stołówki sowieckie, zorganizowane są naprawdę pierwszorzędnie. Olbrzymie sale mieszczą około 2,000 ludzi. Na stołach stoją gotowe już dania (zupa, kasza i chleb). Przy wejściu każdy otrzymuje łyżkę, a wartownik sprawdza przy wyjściu, czy łyżka zostaje zwrócona, zajmuje się miejsce, zjada, poczem wchodzi inny oddział. W takich stołówkach karmiono nas przed rokiem, gdyśmy z więzień i obozów w fufakach i podartych butach jechali do Wojska Polskiego. Tylko, że wtedy na stole nie pozostawał ani jeden kawałek chleba, a już nie do pomyślenia byłoby pozostawienie kaszy.

Tym razem służba w stołówce przyglądała się z zaciekawieniem polskiemu żołnierzowi, który nie patrzał na jedzenie tęsknym wzrokiem i nawet, o zgrozo, nie kończył dania.

Pożegnanie Z.S.R.R.

Następna wielka stacja na Aszhabad. Jedziemy wzdłuż pasma wysokich gór. Z drugiej strony jest Iran - cel naszej podróży. Przez góry jednak nie ma połączenia kolejowego. Późnym wieczorem stajemy w Krasnowodzku. Biwakujemy na obszernym placu koło kolei. Uderza nas fakt, że w mieście obowiązuje pogotowie przeciwlotnicze, światła parowozów są przysłonięte. Dowódca kompanii zbiera od wszystkich resztki pieniędzy sowieckich, które oddane będą rodzinom polskim, pozostającym jeszcze w Sowietach. Rewizja sowiecka jest niesłychanie uprzejma. Komandir pyta czy ktoś ma pieniądze sowieckie, milczenie uważa za wystarczającą odpowiedź, przegląda jedynie i to bardzo pobieżnie walizki i wszystko to, co nie wchodzi w skład przepisanego bagażu żołnierskiego. Mocny uścisk ręki z oficerami polskimi i formalności zakończone.

Kładziemy się spać na gołej ziemi. Ileż to razy w takich warunkach nocowaliśmy po dworcach i miastach Rosji Sowieckiej? Marzliśmy wtedy z zimna, po rozmaitych zaułkach szukało się kawałka suchego drzewa na rozpalenie ognia, interesowało nas tylko, czy i kiedy będzie można dostać odrobinę chleba. Tym razem na ziemi spał żołnierz polski, nie głodny, nie brudny i co najważniejsze wesoły i zadowolony.

Z samego rana w pełnym rynsztunku, obładowani plecakami, kocami, chlebakami i workami, bo wozów nie było, maszerujemy 6 km. do portu wzdłuż morza. Trzeba co chwila odpoczywać, bo bagaż jest ciężki. Pot spływa z czoła, bluza przylepia się do ciała, mdleją ręce i nogi. Ale wiemy, że to już prawie koniec. Dzielnica portowa Kranowodzka podobna jest do tysiąca innych miast tego charakteru. Obok nowoczesnych budynków i asfaltowych ulic - małe domki, obok zupełnie przyzwoicie ubranych ludzi oberwańcy i nędzarze.

Wielki statek "Beria", który ma nas przewieźć do Iranu nie jest jeszcze gotowy do drogi. Czekamy w szalonym upale. Niema ani jednego miejsca ocienionego. Po wodę do picia idzie się poprostu do źródełek. Trzeba ostatecznie zrezygnować z tej przyjemności i, chyba, że ktoś ma ochotę rozpychać się i łokciami torować sobie drogę. Ładowanie na statek trwa parę godzin. Wojsko jest karne i zdyscyplinowane i mimo, że jest go bardzo dużo zajmuje wyznaczone miejsca. Ale oprócz wojska są sterty skrzyń, paczek i papierów. Ludność miejscowa z zainteresowaniem przygląda się nam. Zbliża się chwila odjazdu. Wyżsi oficerowie nasi wychodzą na brzeg. Orkiestra na pokładzie gra "Jeszcze Polska Nie Zginęła" i o godzinie 4.40 popołudniu - 12 sierpnia 1942 roku odbijamy od brzegów Rosji.

Iran, Iran!

Straszono nas wszystkich, zwłaszcza tych, którzy morza nigdy nie widzieli, morską chorobą. Morze jest jednak bardzo spokojne, statek nie trzęsie. Słońce nie przestaje grzać, ciasno jest niebywale, o jakimś poruszaniu się nie ma mowy. Przez całe 24 godziny podróży stoi się w dwóch kolejkach: albo po wodę do picia, albo do WC.

Następnego dnia przybijamy do brzegu. Zdaleka widać gmachy portowego miasta i...las białych namiotów, nad którymi powiewa polska flaga. Wyjeżdża nam na spotkanie motorówka pod banderą irańską i inny statek sowiecki, na który musimy się przesiadać, gdyż nasz olbrzym nie wjedzie do portu. Przedstawiciele władz wojskowych sowieckich i perskich zabierają do motorówki naszych dowódców. Przesiadamy się również.

Pół godziny jazdy jest straszne. Gnieździmy się pod pokładem zbici w jedną masę bez odrobiny powietrza. Wysiadamy tak słabi, że zataczamy się poprostu z braku sił. Najgorsze, że teraz trzeba iść kilka kilometrów pieszo po piasku wzdłuż morza do polskiego.

Jest zupełnie ciemno. Z trudnością wleczemy się przez miasteczko. Po drodze zaczepiają nas koledzy w mundurach i cywile, którzy przybyli już w kwietniu. Padają znów te same pytania, które słyszeliśmy już tyle razy: skąd, a kiedy przyjechali, a czy dużo was jest, czy jest ktoś z Baranowicz, a może z Kielc itd. itd. Naszych interesują znów zupełnie rzeczy. Ile kosztuje arbuz. Ile można dostać jajek za tumana, czy jest wino? Mijamy jakieś namioty, trudno się zorjentować, gdzie właściwie jesteśmy. Słychać szum morza, pod nogami widać piasek. Parę razy zrzucam z siebie plecak. Nie mam już siły iść dalej.

Po przybyciu na miejsce, prawie nieprzytomny kładę się na goły piasku i chcę spać. Ale po kilku minutach zbiórka. Mamy dostać mimo spóźnionej pory (jest godzina druga w nocy) kolację. Idziemy z menażkami do kuchni. Pierwsze przedsmaki "zagranicy". Dają nam słodką herbatę z mlekiem, chleb i... daktyle. O spaniu nie ma mowy, bo niedługo po zaśnięciu budzi nas pobudka. Idziemy do morza kąpać się.

Zawieramy znajomości z miejscowymi Persami, którzy obładowani workami proponują sprzedaż wszystkiego, od wódki począwszy na winogron i paście do butów.

Powoli zaczynamy się jednak przyzwyczajać do nowych warunków. Widzimy oryginalne ciasteczka, lemoniady, piwo, wody sodowe. Ale "prawdziwe" życie zaczyna się dopiero z chwilą, gdy zrzucamy z siebie dotychczasowe ubrania i nakładamy tropikalne koszule i shorty. Teraz można już zaznajomić się z miastem i z całym obozem polskim.

<u>Obóz w Pahlevi</u>

Do Pahlevi przybywały codziennie nowe statki, przywożące z Rosj wojsko i ludność cywilną. Olbrzymi aparat ludzki Polaków i Anglików pracował w pocie czoła nad umieszczeniem tych mas ludzkich w namiotach, wykąpaniem, ubraniem, nakarmieniem i wysłaniem w dalszą podróż. Codzie nie przychodziły też wielkie ciężarowe samochody z Teheranu i przywozi do magazynu angielskiego mleko, sery, margaryny, daktyle, papiery, konserwy, ryby itd. Polskie Dodge rozwoziły je natychmiast po pięciu rejonach obozu polskiego. W pierwszym i drugim przebywali cywile. Pierwszy był t. zw. brudny, do niego kierowano ludność natychmiast po przyjeździe. Po przejściu przez dezynfekcję i zamianie starych łachów na nowe ubrania, kierowano ludność do drugiego rejonu a stamtąd odjeżdżała do Teheranu.

Dla wojska odpowiednikiem pierwszego rejonu cywilnego był trzec stamtąd szli nasi żołnierze do piątego. W rejonie czwartym mieszkały "pestki" i junacy. Był jeszcze ponadto rejon uzdrowieńców, gdzie umieszczano wszystkich rekonwalescentów i lżej chorych. Poważnie chorzy leżeli w wielkim szpitalu, który codziennie wysyłał transporty do Teheranu. Wszystkie rejony mieściły się nad morzem w pewnym oddaleniu od miasta. Specjalne autobusy przewoziły ludność i wojsko z rejonu do rejonu i z rejonu do miasta.

W namiotach, na plażach i w samym mieście kipiało życie. Któreg dnia przyjechał gen. Anders. Odwiedził namioty, rozmawiał z żołnierza mi i cywilami, a później przyjął wspaniałą defiladę wojska wzdłuż brzegu morza. Było to już wojsko nowe, w innych mundurach, nakarmione i wyczyszczone.

Hindusi zaprzyjaźnili się szybko z nami. Pracowałem przez pewie okres czasu z nimi w jednym z działów wielkiego aparatu administracyjne Interesowali się naszym dotychczasowym życiem, okazywali wiele współczucia na widok wymizerowanych i chorych, których było między nami, niestety, większość. Pokazywali nam listy z domów i fotografie, tęsknili do swych matek, żon i dzieci. Imponowała im postawa i elegan cja Polaków, ich zawsze dobry humor. Bardzo szybko nauczyli się wiel słów po polsku. Znali takie wyrażenia, jak skrzynka, worek, herbata, ser, madame, dobrze, źle.

<u>Odjazd do Iraku.</u>

Ilość ludzi w Pahlevi rosła. Z kilku tysięcy doszła w pewnej chwili do 25,000. Potem znów zaczęła maleć. Ewakuacja trwała od pierw szych dni sierpnia do połowy października. Kiedy opuszczałem Pahlevi 15-go października było już przeraźliwie pusto. Namioty zostały zwinięte, tam gdzie jeszcze niedawno było tak rojno i wesoło, teraz pozostał tylko goły piasek. Persowie żegnali nas z podobnym żalem, jak kiedyś Uzbecy, czy Kirgizi.

Podróż z Pahlevi do nowego miejscu postoju w Iraku odbywała się już zupełnie w innych warunkach. Wiozły nas olbrzymie samochody, Studebakery. Jazda trwała 4 dni. Mijamy szybko pustynie i góry Persji.

Na granicy Persji i Iraku, mały domek i żandarm angielski. Pokazujemy dokumenty.

Jesteśmy znowu wśród swoich. Ryszard Mossin